Zylbersztajn Hanele

HANELE.

Druk. M. Weidenfelda i Ignacego Keltera. Warszawa, Leszno 34.

HANELE.

NOWELKA

na tle stosunków prowincyjonalnych.

SKREŚLIŁ

Natan Zylbersztajn

z Wiślicy.

Wydanie drugie.

WARSZAWA.
Nakład autora.

1898.

Дозволено Цензурою
Варшава, 29 Сентября 1898 г.

Wielmożnemu

Izakowi Rothbergowi

Członkowi Komitetu budowy nowego szpitala w Warszawie i obywatelowi m. Warszawy w dowód wysokiego szacunku i poważania

poświęca

Autor

Warszawa, 2 Lutego 1899 r.

Pińczów należy do majętności margrabiów Wielopolskich, którzy niedaleko téż posiadają piękny zamek Chroberz. Miasto znajduje się na obszernéj dolinie, opasanéj zewsząd wzgórzami, między którémi przerzyna się błękitnawa Nida. Rzeka ta, jakoby girlanda, okala miasto i w malowniczych zagięciach płynie majestatycznie ku Korczynowi, gdzie wpada do Wisły. Ulice miasta są szerokie, przedmieścia wygodne, ładny rynek z pięknémi kamienicami jednopiętrowémi, skwerek otoczony sztachetkami, w środku którego znajduje się fontanna i kilka ławeczek dla spacerującéj publiczności, ciemnozielony gmach gimnazyjum, bardzo gustownie wybudowany; kościołek parafijalny bardzo już stary, którego dzwony smętnym i tęsknym dźwiękiem ludek do modlitwy, a uczniów do rannego wstawania nawoływują; synagoga starożytna o podłużnych oknach i wysokiéj kopule, istniejąca już, jak twierdzą powszechnie, kilkaset lat; sąd przeniesiony tu ze Stopnicy, urząd hypoteczny, sklepy z różnémi towarami, cukiernie i kilka składów win, wreszcie kilka większych składów z galanteryją i towarami bławatnémi—oto i cały Pińczów. A że i gleba w okolicy jest

dobra i urodzaje piękne, to i handel zbożem kwitnie tu w wysokim stopniu. Wielu też kupców przesiedliło się tu z ościennych miasteczek i w krótkim czasie dochodzili oni do majątku i znaczenia.

Między Pińczowem a Nowém-Miastem Korczynem, nieco w bok ku Działoszycom, leży miasteczko Wiślica, odległe o dwie mile od Pińczowa. W końcu miasta, za targowiskiem, w ostatnim prawie domku, leżącym obok gościńca, wiodącego na Szczobaków, mieszkał ze swą rodziną reb Hersz Laks z przydomkiem Wisznicer, prawdopodobnie od miasteczka Wiśnicza [1]), z którego pochodził. Reb Hersz prowadził do współki ze swoją bratową Symele Rozenkrancową i bratem Berelem Fajersztajnem [2]) znaczny handel zbożowy z Gdańskiem. Mieli też oni własną gorzelnię, pędzili dziegieć i smołę, dzierżawili od wielu lat propinacyję i konsumpcyję w Wiślicy,— słowem, świetnie im się powodziło.

Reb Hersz i Berele Fajersztajn uważani też byli za ludzi zamożniejszych w całéj okolicy. Mawiano powszechnie, że mają *bruche*, t. j. błogosławieństwo od reb Josele, sławnego cadyka [3]) w Nowem-Mieście. Wyrostki

---

[1]) Wiśnicz, miasteczko w Galicyi.

[2]) Takie zmiany w nazwach braci często spotykamy u żydów naprzykład: Dylion, Tykociner i Litauer również są rodzonymi braćmi.

[3]) Reb Josele Najszteter był to człowiek bardzo światły, zacny i nabożny. Jeździli do niego nietylko chasydzi, lecz i inteligencyja z Warszawy; obywatelstwo też okoliczne

w chederach [1]) opowiadali półszeptem, że reb Hersz podobno miał w swoich piwnicach kilkanaście beczek naładowanych dukatami holenderskiémi. Opowiadali również. że około jego lamusa jakieś duchy nocne, wychodzące jakoby z zapadłych ruin Szczobakowskich, ciągle niepokoją przejezdnych; w samym zaś lamusie nocną porą słychać jakoby świsty, śmiechy puste,—chrzęsty i jęki, wychodzące z podziemia Szczobakowskiego,—mniejsi zaś chłopcy, tuląc się do siebie z bojaźni, jeszcze ciszéj dodawali, że nawet w lamusie tak zwane *świeczki nocne* [2]) wywracają wszystko do góry nogami.

Nie sprawdzając tych podań ludowych, reb Hersz i jego rodzina, jako ludzie pobożni, niewiele zwracali uwagi na te szepty, interes swój prowadząc uczciwie i bogobojnie i dobrze im się działo. Reb Hersz doczekał

---

nieraz zasięgało jego światłéj rady. Posiadając w wysokim stopniu zaletę zjednywania sobie ludzi, mawiał on często z uśmiechem, głaszcząc swą białą brodę, że zjednywanie sobie ludzi jest najwyższą cnotą u Boga i koroną obyczajów «zychrono liwruchu» (pamięci jego na sławę).

[1]) Szkoła religijna początkująca dla młodzieży Izraelskiéj.

[2]) W Wiślicy podania ludowe utrzymują, że świeczki, t. j. błędne ogniki, podróżnych niosą na manowce. O ruinach Szczobakowskich, o podziemiach, prowadzących z Wiślicy do Korczyna i o zapadłym zamku Królewskim, różne wieści krążą w okolicy. Zamek ten był prawdopodobnie zbudowany już w wieku XI, a odrestaurowany za Kazimierza Wielkiego, który statut wiślicki tu ułożył i wydał w XIV w.

się sędziwego wieku i pociechy z dzieci. Po zgonie jednak głównego przedstawiciela firmy, gdy i spółka się rozwiązała, rodzina się rosproszyła. Tak Rozenkrancowa przeniosła się do Działoszyc, gdzie mieszkała jéj cała rodzina. Pozostały w Wiślicy Pinio Laks w dalszym ciągu, choć na mniejszą już skalę, interes ojca prowadził; Fajersztajn zaś, przynęcony wzrostem Pińczowa, do tegoż miasta się przeniósł i stale osiedlił.

Fajersztajnowi, w kilka miesięcy po przybyciu do Pińczowa, udało się nabyć na bardzo wygodnych warunkach w samym rynku dom, w którym mieścił się zajazd, hotel z kilku numerami dla gości oraz skład win. Dokupił on téż kawał placu z przeciwległéj strony ulicy, przy zakręcie z rynku na gościniec Działoszycki i tu, gdy interesa się poprawiły, reb Jojne wystawił domek, który stopniowo upiększał. A trzeba przyznać, że gust miał dobry, bo domek, jakkolwiek parterowy, lecz zgrabniutki o pięknych, wysokich oknach, opatrzonych żaluzyjami, ozdobiony był dość obszernym przedsionkiem, wzdłuż którego mieściło się kilka rozłożystych akacyj, a poza niémi ogródki warzywne. W głębi zaś podwórka znajdował się ogród owocowy, ładnie oparkaniony, z małą altanką, gustownie przybraną po środku. Wprawdzie ogródek ten i dawniej istniał, gdyż poprzednik Fajersztajna, reb Lajb Reles, zwykle go na lato wydzierżawiał Nysenowi Sederowi [1]) i brał czynszu dzierżawnego 9 rubli, ale tenże Seder rozpowiadał teraz, że Fajersztajnowie

[1]) Ogrodnik.

tak pielęgnują swój ogród, że wart jest przynajmniéj trzy razy tyle. Domek ten już od lat kilku zamieszkiwał reb Jojne, w jednéj połowie mieściło się prywatne mieszkanie całéj jego rodziny, w drugiéj był jego kantor i gabinet, w którym mieścił się również bogaty księgozbiór.

Zaraz po przyjeździe do Pińczowa, reb Jojne zaczął prowadzić interes zbożowy. Początkowo skupował zboże dla Taubenwurcla i Brünera z Warszawy, oraz dla słynnego w owym czasie Nuchema Kuzmarkiera z Sandomierza, następnie dla firm gdańskich i lwowskich, a po kilkunastu latach, gdy urósł w bogactwo i kredyt między obywatelami okolicznymi, począł pszenicę na własny rachunek skupować i takową berlinkami do Gdańska spławiał.

Zajazd, który, jak powiedzieliśmy, nabył w bardzo opuszczonym stanie, tak, iż prawie nikt doń nie uczęszczał, reb Jojne doprowadził do lepszego porządku. Wybrukował odpowiednie wjazdy, pokoiki przerobił, wybielił czysto i wymalował, wstawił meble lepsze, zaopatrzył w pościel zawsze czystą; dobudował z tyłu budynku stajnię, nawet studnię miał na podwórku z długim żórawiem i korytami. To téż w kilka lat i zajazd jego bardzo był uczęszczany. To samo było ze składem win. Reb Jojne sprowadzał je z Węgier, z Bordeaux [1]) i innych miejscowości, a że na domiar tego goście dostawali na

---

[1]) Miasto we Francyi, czyta się Bordo.

zakąskę makagigi i ciastka nadwyczaj smaczne, przeto i piwnice Fajersztajna zasłynęły na całą okolicę. Konkurenci nawet Fajersztajna przyznawali w pokorze ducha, że makagig Marjemł, żony reb Jojnesa, co do dobroci i smaku nikt naśladować nie może, albowiem ona do sporządzenia takowych podobno jakiegoś specyjalnego używa sposobu.

To też reb Jojne rósł w bogactwo i znaczenie, a jakkolwiek nie rodzony w Pińczowie, lecz od kilkunastu lat dopiéro tu przesiedlony, zdołał sobie jednak zaskarbić takie uznanie, że został wybrany do dozoru bóżniczego [1]), a w synagodze ofiarowano mu pierwsze miejsce na *mizrechwand* [2]) około samego rabina. Mówili nawet w mieście, że uczony i znany z mądrości reb Jankele Rapaport często odwiedzał Fajersztajna i w jego gabinecie po kilka godzin z nim przepędzał, co naszemu reb Jojnemu jeszcze więcéj powagi dodawało w mieście.

Reb Jojne był małego wzrostu, ramiona miał przygarbione, twarz trochę skrzywioną, wierzchnią wargę grubszą, aniżeli dolna. Mały podbródek, bure oczy, osłonięte siwémi brwiami, czoło niewielkie, przy potężnym, jak ogórek łosicki, nosie, na którym odznaczało się szarawe znamię, czyniły fizyjognomiję Fajersztajna rubaszną. Twierdzono jednak w mieście,

---

[1]) Dozór bóżniczy bywa wybierany w każdém mieście, zamieszkałém przez żydów, do zarządzania sprawami gminy Izraelskiéj.

[2]) Ściana wschodnia—pierwszorzędne miejsce.

że reb Jojne złote ma serce i nieoszacowany charakter. Nieraz, gdy obywatel ziemski pieniędzy potrzebował, reb Jojne bez procentu mu pożyczył i znaczne zapomogi udzielał kupcom podupadłym, wdowom, sierotom i wogóle biedakom.

Było to podczas *Choł-Hamoed Sykies* 1860 roku, t. j. wolnych świąt szałasów [1]). Dzień był pochmurny, niebo zamglone, a deszcz lał jak z cebra. Na przedmieściach Pińczowa i w samym nawet rynku można było ugrzęznąć w błocie, rynek nie był bowiem jeszcze zabrukowany.

Duża bryka, naładowana skrzyniami, beczkami, koszami z rozmaitym towarem, pokryta różnokolorowémi łachami i kawałkami płótna, wlokła się przez

---

[1]) Święta Szałasów inaczéj Kuczkami zwane, ustanowione zostały na pamiątkę ukończenia żniwa w Palestynie, trwają dni 9 i przypadają zwykle pod koniec września, lub w październiku, rozpoczynając się na 5 dni po poście Jom Kipur (dzień odpuszczenia). Nazwę *szałasów* otrzymało to święto na pamiątkę, iż po wyjściu z Egiptu Izraelici obozowali na puszczy w szałasach, to jest namiotach, wystawionych z gałęzi drzew rozmaitych. Dla upamiętnienia obchodu ukończenia żniw z tą uroczystością nakazał Mojżesz, by do szałasów używano 4-ch gatunków roślin, a mianowicie: owocu drzewa *hadar*, czyli tak zwanego *esrog* (rajskie jabłko), gałęzi palmowych *lulab*, gałęzi drzewa *awos* (mirta) i liści drzewa oliwnego. Według przepisu Mojżesza, święto szałasów *hag-ha-sukot* powinno trwać dni ośm, dla nieznajomości jednak kalendarza poczęto obchodzić je przez dni dziewięć.

rynek do zajazdu. Przez otwory podziurawionych rupieci kilkanaście głów rozmaitéj płci wyzierało na Pińczów, gapiąc się i głośno rozmawiając. Woźnica nielitościwie smagał wynędzniałe szkapy, które nie mogły się z błota wydobyć. Powstał niemały tumult: krzyczał woźnica, a wtórowali mu pasażerowie, aż wreszcie bryka, przezwana od swego właściciela *Sanówką*, wtoczyła się do zajazdu reb Jojnego Fajersztajna.

Skocył kimt [1], *Pinie leben, Szulem Alajchem!* [2]— rzekł, wybiegając z wypogodzoną twarzą nasz gospodarz naprzeciw rodziny, która dopiéro co wysiadła ze wspomnianéj bryki.

Był to Pinie Laks ze swą żoną Ryfkele die Sagenurte, tak przezwaną z powodu zézu lewego oka. Reb Jojne wprowadził ich do swego prywatnego mieszkania, gdzie się rozgościli. Ryfkele miała dziecko przy piersi, a za Piniem kroczyło jeszcze kilku bachurów, z których najstarszy Pajsechł, ulubieniec ojca, mógł mieć około lat czternastu.

— Słyszałem o waszém nieszczęściu—przemówił wreszcie Fajersztajn dobrotliwie, opierając się łokciami o stół i patrząc prawie ze łzą w oku na swoich krewniaków, którym niedawno było tak dobrze i którzy tak odrazu zubożeli.

---

[1]) Witajcie.

[2]) Bądźcie pozdrowieni, pokój z wami.

— Tak jest—stękała Piniowa—całe miasto zgorzało ze szczętem, ledwośmy z życiem uciekli.

—Jak to było—pytał dalej Fajersztajn ze współczuciem, chcąc się poinformować o zaszłém nieszczęściu.

— Pożar zaczął się na przedmieściu — ciągnął opowiadanie Laks,— a że wiatr był szalony, to w oka mgnieniu całe miasto stanęło w płomieniach. Sąsiad mój, pan Zarębski, i cała jego rodzina, także ledwie z życiem uciekłszy, schronili się do Żórawnika.

Tu Laks zażył tabaki i zdawało się, jakby się krztusił, a rzęsista łza zwilżyła poczciwą twarz jego.

— Szkoda Zarębskich — wtórował reb Jojne, wzdychając, — człowiek poczciwy, szlachetny, aj... aj... szkoda... wielka szkoda!

Do późnéj nocy gwarzył jeszcze Laks ze stryjem i ze wszystkiego się wyspowiadał przed nim. Reb Jojne, dowiedziawszy się o szczegółach pożaru i o zubożeniu zupełném swych krewniaków, przyjął ich do swego domu i obiecał zająć się dalszym ich losem.

Jak już wiemy, Pinio Laks pozostał w Wiślicy. Interesa jego, małym prowadzone kapitałem, co raz się zmniejszały, zarobki były liche, a rodzina powiększała się z każdym rokiem. To téż Pinio w kilka lat po objęciu interesu ojca widział się zmuszonym zlikwidować go. Browar i grunta na targowisku sprzedał on Zarębskiemu z Żórawnik, od którego nasz Pinio niejednego doznał dobrodziejstwa. Domek zaś kupili od Pinia Abram Bajściner i Rachmil Smarcha. Za

osiągnięte w ten sposób pieniądze Pinio kupił dom niedaleko przedmieścia Kotlickiego i utrzymywał się z czynszu za wynajęte przezeń lokale oraz z nieznacznéj zapomogi, którą dostawał regularnie co miesiąc od Rozenkrancowéj z Działoszyc i od stryja swego Fajersztajna z Pińczowa. Dzieci posyłał do chederu w Wiślicy; utrzymywanego przez Chaima Hirsza, tak zwanego *dardyger melamed* [1]. Najstarszy syn Pajsechł, który już rozpoczynał rok trzynasty i niedługo miał zostać *bar micwa* [2]) chodził do wyższego chederu do Kielmana melameda, który oprócz początków religii, egzegetyki i biblii wraz z komentarzami, wtajemniczał go we wszelkie szczegóły nauki talmudycznéj. W tej to szkole Pajsechł Laks celował bystrością pojmowania, a że pamięć miał wyborną, więc, gdy w sobotę po obiedzie z talmudem pod pachą chodził do reb Szmerli na przesłuchanie (*verhern* [3]) dostawał zawsze najpiękniejsze *szabes ojbst* [4]), przyczem reb Szmerl głaskał go

[1]) Nauczyciel dla małych dzieci.

[2]) Z rozpoczęciem 14-go roku, chłopcy konfirmują się, t. j. przy odpowiednim ceremonijale wygłaszają wyznanie wiary i liczą się już jako *bar micwa*, t. j. stają się poniekąd odpowiedzialnymi za swoje postępki; zaczynają również przyjętym zwyczajem modlić się w naczolnikach „*tephilim*".

[3]) W sobotę młodzież chederowa egzaminuje się u znanych erudytów w talmudzie.

[4]) Bakalije. poczęstunek sobotni.

po twarzy i nie mógł się dosyć bystrości jego wydziwić, sam reb Kielman wszędzie się nim popisywał, mówiąc, że to będzie pierwszy *yle* [5]).

To też Ryfkele die Sagenurte aż rosła, patrząc na pierworodnego Pajsechła i marzyła o wysokiém dla niego *szydech* (partyi), będąc pewną że niezawodnie Pajsechł zostanie zięciem rabina, co było jéj najwyższém marzeniem. Ten stan rzeczy trwał do chwili, w której straszna katastrofa, o jakiéj już wiemy, nawiedziła Wiślicę.

Musimy przytém dodać, że wogóle co do stopnia kultury izraelskiéj żydzi wiśliccy znacznie się różnią od współwyznawców swoich w Pińczowie lub Działoszycach. Wiślica, jakby odcięta od wszelkiego ruchu cywilizacyjnego, zamknęła się w ciasném kole dziwacznych i zagmatwanych pojęć, które ani z religiją, ani z kulturą nic wspólnego nie mają. Tak naprzykład: książki. w innym niż w hebrajskim napisanéj języku, niewolno było wziąć do ręki. Nazywano taką książkę *trajfe pusł* [1]). Wiele téż innych tego rodzaju przesądów, jako to wiara w *dybka* i *klipes* [2]), kwitło tu w wysokim stopniu.

---

[5]) Zdolny, wyborny, celujący.

[1]) Trefne = zakazane.

[2]) Zły duch, nieczysta siła. Literatura biblijna i talmudyczna nie o tém nic wspomina. W midraszach (opowieściach) rabinicznych są pojedyncze wzmianki, jako osobniki bywały nawiedzane chwilowym obłędem. Uważano to za nawiedzenie nieczystéj siły.

W Działoszycach, dokąd przeniosła się Rozenkrancowa, było już zupełnie inaczej i życie wogóle odmienniéj jakoś się przedstawiało, aniżeli w Wiślicy.

Działoszyce leżą również w dolinie między pagórkami, a dojazd do miasteczka ze strony Wiślicy przez Będziok i Trzy Krzyże bardzo jest utrudniony, Droga idzie przez błotnisty gościniec, przez wysokie lesiste wąwozy, doły i wyboje, grożące na każdym kroku wywróceniem furmanki. Woźnica prawie ciągle idzie piechotą po wydeptanéj ścieżce obok furmanki i słyszy się wciąż jego: „hetto, wio, kajsto, prtu!“ powtarzane na rozmaite tony.

Same miasteczko było dość duże, stosunkowo pięknie zabudowane, tak, iż miało poniekąd wygląd miasta powiatowego. Tylko podczas deszczu formowało się błoto nie do przebycia. Działoszyccanie słynęli z większego bogactwa i dobrobytu, aniżeli mieszkańcy ościennych miasteczek. Oprócz przemysłu zbożowego, pomyślnie się rozwijał tutaj i przemysł drzewny. Obszerne lasy ciągnęły się po kilka mil nieprzerwaném pasmem aż pod Kraków i Niepołomice. Wywóz bydła do Krakowa, Torunia i Przemyśla stanowił również znaczną część przemysłu Działoszyckiego. W sąsiedztwie, a mianowicie w Kazimierzu Wielkim, od wielu lat cukrownia hrabiego Łubieńskiego również niemało się przyczyniała do polepszenia dobrobytu mieszkańców, z których jedni skupywali melas, inni w komis cukier brali, inni odstawiali takowy do Warszawy. Pod względem ogłady towarzyskiéj, ukształ-

cenia i obyczajności izraelici Działoszyccy prześcignęli również gminy sąsiednie. W Działoszycach było kilka okazałych sklepów, piękna cukiernia, w któréj trzymano kilka gazet, a nawet apteka. Doktór Jeliński, chociaż złośliwi nazywali go *meszymedem* (przechrztą), twierdząc, że znali jego dziadka w Krakowie, co się nie Jeliński, a Hirsz nazywał, miał ładną praktykę w mieście i bardzo piękny domek na przedmieściu około drogi, prowadzącéj do Łabędzia. Mieszkańcy Działoszyc, których większą połowę stanowili żydzi, nosili się przeważnie w długich kapotach i furażerkach, ale bardzo czysto. Jarmułka tu była rzadkością, a kilkanaście nawet rodzin, jak: Moszkowscy, Goldblumowie, Mameloki i Słomniccy nosili się już krótko i dzieci do gimnazyjum pińczowskiego posyłali. Był tu wprawdzie pensyjonat Hajmana i szkoła Sztraucha, a w saméj kolonii Łabędzie mieszkał nauczyciel Elkana, o którym rozmaite cuda opowiadano. Początkowo żył on w nędzy, gdyż od niego stroniono, gdy jednak za protekcyją doktora Jelińskiego został nauczycielem szkółki elementarnéj, począł i w mieście lekcyje lepsze dostawać. Największą renomą w mieście i okolicy cieszyła się pensyja Hajmanów. W niéj wykładano lekcyje religii, hebrajskiego oraz języków nowych. Pan Hajman był człowiekiem ukształconym, dobrze wychowanym i pedagogiem w całém znaczeniu tego wyrazu; skończył on gimnazyjum w Warszawie, a ożeniwszy się z panną Winer, również nauczycielką, posiada-

jącą pozwolenie otwarcia pensyi 4-klasowej, z inicyjatywy i za poparciem niektórych oświeceńszych współwyznawców, osiadł w Działoszycach i otworzył prawidłowy pensyjonat. Do tegoż pensyjonatu uczęszczały także i dzieci Rozenkrancowéj, która w kilka tygodni po przyjeździe z Wiślicy kupiła plac około majętności Rzędowskich, na którym wystawiła piękny dwupiętrowy dom, żyjąc z czynszu dzierżawnego i, nie chcąc się wdawać w żadne spekulacyje, oddała się w zupełności troskliwemu wychowaniu swych dzieci. Rozenkrancowa starała się zawsze o inteligentnych lokatorów, co wzbudzało we wielu niechęć. Dom jéj zamieszkiwali od wielu lat doktor Sztajermark i Goldblumowie, którzy zaliczali się do najinteligentniejszych rodzin w Działoszycach. Wspomniane rodziny zajmowały drugie piętro, na parterze była szkoła Hajmanów i apteka Leona Rukiera; sama zaś Rozenkrancowa z dość liczną rodziną zajmowała pierwsze piętro. Sądząc według mieszkania i wewnętrznego urządzenia takowego, można było uważać panią Rozenkrancową za osobę bardzo zamożną. Rozenkrancowa miała czworo dzieci, pomiędzy niémi najstarszy syn Bernard mógł mieć w chwili opowiadania naszego około 23 lat. Po skończeniu pensyi u Hajmana, dzieci Rozenkrancowéj w domu się daléj kształciły w językach i muzyce, prócz Bernarda, który kończył swe studyja w Akademii Handlowéj w Gdańsku [1]), dokąd

[1]) Nie było jescze w owym czasie szkoły handlowej Kronenberga.

zawiózł go po raz pierwszy stryj reb Jojne i wskutek polecenia rabina Rapaporta umieścił go na stancyi u kuzyna tegoż rabina, Oskara Auerbacha. Tam Bernard pod troskliwém okiem zacnego tego opiekuna nabył przy odpowiedniém ukształceniu i etykiety salonowéj. Po ukończeniu studyjów akademicznych Bernard począł starać się o posadę przy którymkolwiek z banków handlowych, co mu téż w zupełności się udało. Znakomita firma w Gdańsku, Joel i S-ka, założyła filiję w Zawichoście około Sandomierza. A że młody Joel był kolegą szkolnym Bernarda, przedstawił go swemu ojcu, wskutek czego do interesu Joelów przyjętym został. Do otrzymania téj posady przyczynił się niemało i list polecający Fajersztajna, z którym Joelowie już lat kilkanaście pozostawali w stosunkach handlowych. Przez dwa lata pracował Bernard w kantorze, gdzie dokładnie poznał manipulacyję całego interesu, a po dwóch latach Bernard naznaczony został dyrektorem filii w Zawichoście, gdzie téż osiadłszy, skromnie i z komfortem się urządził. Pan Bernard, obecny dyrektor banku, nigdzie prawie nie bywał, oddany bowiem całkowicie swojemu zawodowi po za obrębem godzin biurowych schodził się z kupcami w Zawichoście i starał się poznać stosunki miejscowe, ażeby przy udzielaniu kredytu i forszusów na zboże nie przekroczył granic. Jedném słowem, jako sprytny i zabiegły kierownik w Zawichoście, z pożytkiem dla swoich szefów i z korzyścią własną sprawował powierzoną sobie godność. Mówię z korzyścią, gdyż szefowie, oprócz pensyi dość znacznej, dali mu po kilku latach pra-

cy i pewną tantyjemę w zarobkach.

Zostawimy tu pana Bernarda, oddanego całkowicie swojéj karjerze, by wrócić do przerwanego wątku naszego opowiadania.

Opisaliśmy poprzednio zewnętrzny wygląd skromnego domku Fajersztajna przy ulicy Działoszyckiéj w Pińczowie. Nie możemy tego w zupełności powiedziéć o wewnętrzném jego urządzeniu. Wnętrze przedsionka składało się z małych kwadracików marmurowych, misternie ułożonych w arabeski. Okna przedsionka, wychodzące na ogród, złożone były z bardzo małych, różnokolorowych szkiełek, które przy pomocy wązkich szlaczków rzeźbionego drzewa układały się zgrabnie w różne figury symetrycznie ułożone. Pozłacany szyldzik na drzwiach, o tle niebieskawém, obwieszczał wszem wobec i każdemu w szczególności, komu wiedziéć należało, iż mieszka tu Jojne Fajersztajn. Samo mieszkanie było wykwintnie i bogato urządzone, sute draperyje z prawdziwego adamaszku z jedwabnémi frędzlami, podszyte białemi, jak śnieg, koronkami z zagranicznego muślinu oddzielały przedpokój od salonn, w chińskim stylu urządzonego. Śliczne obrazy porozwieszane na ścianach, eleganckie meble z prawdziwego bambusu, zielonym adamaszkiem pokryte, piękne lustra z konsolkami marmurowémi, otoczone całą oranżeryją kwiatów, mały stoliczek, na którym w miłym nieładzie rozrzucono kilka książek, kanwa z rozpoczętą robotą oraz niedokończony krajobraz (pejzaż), a obok eleganckie pianino kompletowały umeblowanie salonu, zkąd drzwi

prowadziły do buduaru, z większym jeszcze urządzonego przepychem. Gruby i gęsty kobierzec wyściełał cały pokój, ściany obite żółtym adamaszkiem, a na nich rozwieszane obrazy sielankowe, historyczne i mytologiczne z gustem i smakiem podebrane. Właściwéj sypialni widać nie było, tylko niszę otoczoną baldachimem i kłąbem kwiatów.

Z drugiéj strony przedsionka drzwi oszklone prowadziły do kantoru, o którym już powyżéj wspomnieliśmy.

Reb Jojne Fajersztajn był przytém wielkim zwolennikiem czystości i porządku, w czém go jeszcze przewyższała żona jego Marjemł, z domu Fajnberg, Była to osoba nizkiego wzrostu, szczupła, o drobnych ale szlachetnych rysach twarzy, o jasnych, szafirowych oczach, o dużém czole, osłoniętém peruką (*hurband*), podczas gdy głowę jéj pokrywał skromny biały czepeczek z niebieskiémi wstążkami. Małe jéj usta uśmiechnięte i ruchliwe zdawały się szeptać cichą jakąś modlitwę, nos mały, na którym widniało małe znamię, ruchy skromne lecz dystyngowane. Tak wyglądała małżonka reb Jojnego. W każdym kąciku jéj bogatych apartamentów lśniło się od czystości; każdy sprzęt ze skrupulatnością na właściwém musiał być miejscu. Umiała téż ona przez wrodzony takt i finezyję, jéj tylko właściwą, każdemu z gości właściwe wskazać miejsce i niejako wskazywała mu rolę, jaką mógł odegrać w jéj domu. Słowem, była to kobieta wysokiego taktu i wielkiego umysłu, stojąca niewzruszenie na straży swych powin-

ności, swego obowiązku i honoru rodzinnego.

O charakterze jéj kumoszki pińczowskie nic złego powiedzieć nie mogły; biedni ją kochali, gdyż była dla nich dobrą i szczodrobliwą; a wszyscy, co ją poznali, szanować ją musieli.

Fajersztajnowie mieli corkę jedynaczkę, która w roku 18**, mniéj więcéj w tym czasie, kiedy Laksowie po pożarze w Wiślicy przenieśli się do Pińczowa, mogła mieć około jedenastu lat. Było to śliczne dziewczę, zgrabniutkie, zwinne, hoże. Żywa i zarumieniona twarzyczka, z któréj ciekawie wyzierały piękne szafirowe oczy, wyniosłe czoło i blond włosy, spadające wokoło szyi długiémi warkoczami, zgrabny nosek, mała buzia, figlarny uśmiech i bardzo swawolny temperament, czyniły Hanele—tak bowiem nazywało się to piękne dziewczę—prawdziwą czarodziejką. Dlatego téż w całém mieście nazywali ją *Hanele die Kiszefmacherin,* Hanusią czarodziejką. Mimo to, że uczyła się bardzo dobrze, była bowiem już w drugiéj klasie na pensyi u pani Zabiełowéj [1]), nie przeszkadzało to jéj jednak być w domu swawolnicą i trzpiotem. Szczególniéj gdy kuzynek jéj Bernard, zwany Berele, którego już dobrze znamy, przyjeżdżał na wakacyje do stryja Fajersztajna — przewracali naówczas we dwójkę cały dom do góry; broili, aż się trzęsły ściany. Piękne

[1]) Pani Zabiełowa, żona profesora gimnazyjum Pińczowskiego, utrzymywała w témże mieście pensyję czteroklasową żeńską.

i drogie szyby przedsionka były prawie wszystkie powybijane, w ogródkach przed domem wszystko wydeptane, dywany powywracane, a nawet nieraz i w kantorze psotnicy szerzyli spustoszenie. Nie pomagały zażalenia służby przed panią domu, która pieściła zarówno małego Berele, jak i swą jedynaczką Hanele. Napomnienia buchaltera w kantorze i użalenia przed panem Fajersztajnem, również pożądanego nie odnosiły skutku. Berele bowiem był jego ulubieńcem, sam po niego jeździł nieraz do Działoszyc, a gdy prędko nie przyjeżdżał, wszyscy za nim tęsknili. Najbardziéj dał się uczuwać brak jego, gdy wskutek kłótni między nim a dziećmi Laksowéj, obraził się i przez całe dwa lata do Pińczowa nie przyjeżdżał. Było to w kilka miesięcy po przyjeździe Laksów do Pińczowa. Berele bawił się ze swą kuzynką w przedsionku, jako ulubioném miejscu ich psot i zabaw, a zdarzyło się że Pajsechł, kręcący się wówczas po podwórzu, zajrzał do przedsionka.

— *Wus wilst dy* (czego chcesz)?—zapytał go Berele z dumą.

Pajsechł nic nie odpowiedział.

— *Gaj die menyt* (odejdź natychmiast)!—tupnął nogą Berele i kułakiem nań zmierzył.

Tu stało się coś nadzwyczajnego: mały Pajsechł który cały czas stał nieporuszony i zapatrzony w obraz Hanele, niespodzianie i prędko podsunął się do Berele, wymierzył mu porządne dwa policzki, a, odwróciwszy się, zacisnął pięści, zatrzasnął drzwiami i szybko poleciał do domu. Po drodze mały złośnik jeszcze pięści ściskał, jar-

mułkę poprawiał, pejsy gryzł niecierpliwie, oczy mu się iskrzyły, dygotał jak w febrze, poszedł do domu spać i zapomniał nawet się rozebrać, *krysme lajnen* (pacierz) zmówić, ale usnął twardo, a gdy wstał nazajutrz, matka mu mówiła, że już belfer parę razy przychodził, aby go odprowadzić do chederu.

— Nie pójdę do chederu—mówił Pajsechł.

— Jak to?

— Nie chcę—odrzekł, wzruszając ramionami.

— Czy dybek cię opętał?

W trakcie tego belfer nadszedł. Zaczęło się gwałtowne szarpanie. Pajsechł kopał nogami, belfer go chciał złapać za plecy. Co tam było krzyku, wrzasku! trudno opisać, dość powiedzieć, że zbiegł się cały dom. aż wreszcie przemogła siła: Pajsechł został odprawiony etapem do chederu. Matka go strofowała, używała wszystkich środków, nie żałowała łakoci, makagig i innych przysmaków. Pajsechł jednak był niewzruszony i awantury z belferem ciągle się powtarzały, a co najgorsza, że sam ojciec Pinie Laks żadnego udziału nie przyjmował w strofowaniu małego Pajsechłka, marszczył tylko czoło, jakby wstrzymując się od śmiechu, i na wzór stryja swego reb Jojnego, zamiast dotykać szarawego znamienia, głaskał się tylko po brodzie i kiedy niekiedy poprawiał sobie jarmułkę jedwabną.

Moj kochany Pinie-leben—rzekła raz do niego zafrasowana żona,—co to będzie z Pajsechłem? do chederu iść nie chce, kręci się ciągle około Hane Reles,

gdzie mieszkają te *meszymudem* z Działoszyc, albo téż chowa się w ogrodzie pod oknami, słuchając całémi godzinami, jak Hanele gra na fortepianie, a Jankiel Wolf-bebłok, brat rebego, co mieszka naprzeciw szkoły (gimnazyjum), widział nieraz, jak Pajsechł, wykradając się z chederu, całémi godzinami siedzi skulony pod kasztanem, gapiąc się na szkołę i na uczniów, którzy z niéj wychodzą...

W miarę jak mówiła, twarz Laksa rumieniła się z zadowolenia, głaskał się po brodzie, poprawiał jarmułkę i pomrukiwał tylko z zadziwieniem: „Ny, ny...“

— Pinie-leben, może to jest rzeczywiście jakiś urok albo dybek?

— Pan Bóg dopomoże — odrzekł, pocieszając mąż.

— Ale trzeba coś zrobić, coś przedsięwziąć, przecież Gimpele melamed mówił, że to *yle.*

— Ny, ny! — odpowiedział mąż — jakoś to będzie, jakoś to będzie...

Na tém się zwykle kończyły rozmowy ze starym Laksem, awantury zaś z belfrem i wycieczki Pajsechła pod kasztan rozłożysty w dalszym ciągu się powtarzały. Awantury te były nawet coraz energiczniejsze, bo z jednéj strony upór Pajsechła, z drugiej zaś natarczywość belfra wzrastały. Powiedzmy nawiasem, że belfer zachęcany bywał do tego podarunkami Laksowéj, jak również i napomnieniami rebego, do którego Laksowa wciąż szła z zażaleniami. Największy nań wpływ okazywała w podobnych razach Hanele, za zjawieniem się któréj zwykle się Pajsechł mitygował, a gdy go

pogłaskała i wzięła za podbródek, to się i bez makagig obeszło, bo brał on naówczas pod pachę, zwyczajem pińczowskich bachurów dwa kawałki drzewa opałowego i, uśmiechając się z zadowolenia, ochoczo do chederu podążał. Wprawdzie, jak belfer opowiadał, już w drodze, przechodząc około gimnazyjum, kołował w prawo i w lewo, jakby go jakie złe opętało, i urządzał coś nakształt gonitw z belferem, ale gdy ów przeklęły gmach *(tyme)* minął i skręcił w boczną ulicę, dał się prowadzić jak pokorny baranek. Uczyć się swoją drogą nie chciał, a prawdę powiedziawszy, i reb Gimpele, który się obawiał, aby innych jego bachurów takiem postępowaniem nie zaraził, niewiele zwracał uwagi, gdy się Pajsechł parę razy dziennie wymykał ze szkoły. Wiadomém téż już było każdemu, że w takich razach albo siedzi on pod kasztanem, albo kołuje obok gimnazyjum, gapiąc się na to, co się w niém i naokoło niego dzieje. Trwało to tak przez kilka tygodni, a że Pińczów jest małém miasteczkiem, wszyscy o tém już wiedzieli. Dowiedział się wreszcie o tém i stryj jego reb Jojne, który, uśmiechając się dobrotliwie i swoim zwyczajem dotykając szarego znamienia na nosie, kazał do siebie przywołać małego Pajsechła, zamknął się z nim sam na sam i długą miał mowę. Nikt nie mógł pojąć, co tak mądry człowiek, jak reb Jojne Fajersztajn, może kilka godzin robić z takim malcem, z takim szajgecem, jakim był Pajsechł; domyślali się tylko, że niezawodnie go strofuje za złe postępki. Reb Gimpeł był pewny, że po téj rozprawie Pajsechł znowu będzie u niego *yle*

i pod przeklęty kasztan chodzić przestanie; belfer cieszył się, że awantury codzienne skończą się nareszcie, a matka przeczuwała, że mądry stryjaszek, któremu wszystko się tak powodziło, będzie o tyle *mazełdyk* (szczęśliwy), że pod wpływem słów stryja kochany jéj Pajsechł upamięta się i znów najlepszym bucherem będzie w chederze reb Gimpla. Z tém wszystkiém niewiadomo było nikomu, co tam reb Jojne na osobności uradził ze swym małym i upartym krewniakiem; dość, że nazajutrz rzeczywiście z dwoma kawałkami drzewa pod pachą Pajsechł poszedł sam do chederu, siedział tam przez kilka godzin, uczył się jak poprzednio i wszystkim zdawać się mogło, iż wrócił do dawnego trybu życia. Wieczorem tylko, gdy zmrok zapadał, nasz Pajsechł, wracając z chederu, zézem spoglądał na kasztan i w stronę gmachu gimnazyjalnego, ale się już nie zatrzymywał i szedł prosto do stryja reb Jojnego; gdzie, odchyliwszy zasłonę tajemniczości, mógł się każdy przekonać, że w osobnym pokoiku nasza Hanele udzielała mu początków czytania i pisania. Widać, że i reb Gimpeł musiał być wtajemniczony w ten sekret; ale milczał, obawiając się narazić sobie pana Fajersztajna. Z początku uczyła go sama Hanele. Pajsechł z niesłychaną szybkością i pojętnością połykał każdy jéj wyraz, każde jéj słowo, a gdy po kilku miesiącach sam reb Jojne asystował przy lekcyi, nie mógł się wydziwić ogromnemu postępowi, jaki Pajsechł zrobił w tak krótkim czasie. Przyjął tedy ucznia klasy 7-éj, który naszego Pajsechła przygotował do 4-éj klasy, do któréj otwarto mu wrota po złożeniu

przezeń egzaminu. Niewiele wrzawy w domu zrobiło pierwsze wystąpienie Pajsechła w mundurze, reb Jojne bowiem przez ten czas użył wszystkich środków, aby nie doszło do gwałtownych ekscesów i umiał matce rzecz tę w należytém przedstawić oświetleniu, a tym sposobem i zmartwienia jéj zaoszczędzić. Użył on i powagi miejscowego rabina, który ją powoli do téj metamorfozy przygotował. Było i w tém trochę ulgi i pociechy dla biednéj matki. że sam reb Jojne, co za patryjarchę i opiekuna całéj rodziny uchodził, zapewniał, że losem jej syna osobiście się zajmie. Tak więc Pajsechł, którego już podczas przygotowań nasza Hanele Pawełkiem przezwała, wstąpił do klasy czwartéj gimnazyjum pińczowskiego, gdzie uczył się bardzo pilnie, w każdéj klasie dostawał nagrodę, był zawsze pierwszym w szkole; wstawał bowiem zawsze rano, nigdy się nie zatrzymywał, idąc do szkoły, tylko na widok kasztana zwalniał nieco kroku; zdawało mu się bowiem, że z pod tego kasztana. który miał tak wielki wpływ na jego życie, przeziera i cudna twarzyczka Hanele, osłoniona kędziorami złotawych włosów i uśmiechająca się do niego para iskrzących oczu i słodkie czarujące melodyje obijały się o jego uszy i upajały serce rozkoszą.

Czas pobytu Pawła w gimnazyjum żadnym szczególnym nie upamiętnił się faktem, żył skromnie z zarabianych lekcyj, nie chciał bowiem w klasach wyższych korzystać z zapomogi i wspaniałomyślności stryja Jojnego. A może... może go to i żenowało przed Hanele, od któréj ciągle był zmuszonym przyjmować dobrodziejstwa.

Nienawiść między Pawłem a Bernardem od chwili owego spoliczkowania również wzrastała, i gdy podczas wakacyi spotykali się u stryja, omijali się widocznie. Już ciocia Marjemł kilka razy usiłowała ich pogodzić, ale jakoś to się jéj nie udawało. Berele wzruszał ramionami pogardliwie, lekceważąc sobie dalekiego biednego kuzyna, a i Paweł, jakkolwiek grzeczny, ale się kuzynowi nie narzucał.

Gdy wyjeżdżał do uniwersytetu Jurjewskiego (naówczas Dorpackiego), bardzo czule żegnał się ze swą matką, która nawet rozpłakała się i pobłogosławiła na drogę. Pajsechł był jéj ulubieńcem. Szepnęła mu tylko do ucha:

— *Tojsz nysz un dus rendel* (nie wymieniaj swego dukata).

Reb Jojne również przed odjazdem miał z nim długą rozmowę sam na sam, po któréj Pajsechł był bardzo wzruszony. Stryj dał mu przytém listy polecające do bankiera Blumentala i opatrzył go radą i kiesą; ciocia Marjemł miała całe kazanie o obowiązkach moralnych i religijnych; tylko jedna Hanele była jakoś smutna i przygnębiona, rzekłbyś, że temu trzpiotkowi jakby skrzydła ktoś odciął. A gdy dzień rozstania się nadszedł, mówiono, że Hanele miała łzy w oczach, które mignęły wprawdzie na chwilę, ale były dostateczne, by zatlić w sercu Pawła jakąś odrobinę nadziei, z którą pojechał w świat daleki.

Po wyjeździe Pawła do Dorpatu, Hanele stawała się codzień smutniejszą. Kilka razy dziennie przybie-

gała do swéj kuzynki Laksowéj i ciągle z nią rozmawiała. Nikt w rodzinie nie mógł odgadnąć celu tych wizyt, łamano sobie téż niemało głowę, co może robić i o czém rozmawić z Laksową najbogatsza i najpiękniejsza panna w mieście, która ukończyła pensyjonat u pani Zabiełowéj i wyższą szkołę żeńską we Wrocławiu. Wiedziano albowiem, że Laksowa była zabobonną i sfanatyzowaną chasydką. Ale to nie przeszkadzało, iż chwile wolne od zajęć domowych przepędzała Hanele u niéj właśnie. Pieściła ją, całowała się z nią, a gdy list jaki nadszedł od Pawła, już Hanele odczytywała go całémi dniami; kiedy zaś wiadomości były dobre i radosne, obie rzucały się sobie w objęcia i zalewały łzami radości. Laksowa odczuwała, co się dzieje w sercu Hanele, gdyż sama była kochającą matką i żoną, to też pomału się ich serca zbliżyły, poznały i zaprzyjaźniły.

Jak jedna chwila rozkoszna, jak jeden pochód tryjumfalny, przeszło w ten sposób Pawełkowi pięć lat ciężkiéj pracy, walk i zabiegliwych studyjów, ale cel miał jasno wytknięty i nie zbaczał odeń ani na krok jeden z głęboką ufnością w Wielkim Bogu, który go wyrwał z obmierzłego otoczenia wiślickiego i na lepsze wprowadził tory. Przytém miał niezachwiane przekonanie, że i dalsze trudności, jakie napotka, przezwycięży pracą, że przy pomocy owéj niewzruszonéj wiary. przejdzie przez wzburzony Jordan, który swémi piętrzącémi się bałwanami zewsząd go otaczał. Wyżéj wspomniane myśli zdradzały się w każdym jego liście, gdyż powtarzał je wciąż ze wzrastającym zapałem. Dla pan-

ny Fajersztajnówny był zawsze ukłon grzeczny i konwencyjonalny; ale się zdawało, że cały list do niéj jest pisany, to téż coraz nowszy ją urok do skromnego mieszkania Laksów pociągał. Wabiła ją tutaj ponęta nieokreślona, miłe złudzenie, jak niegdyś Pawła pod ów kasztan rozłożysty. Był to może ten sam dybek, którego się tak obawiał nasz Gimpele melamed, ale o tém przekonamy się w dalszym ciągu naszego opowiadania.

W tym właśnie czasie pan Bernard Rozenkranc, urządziwszy się odpowiednio, zaczął już otwarcie konkurować o rękę swéj kuzynki, panny Hanele Fajersztajnówny. Miał do tego wszelkie możliwe szanse: zajmował odpowiednie stanowisko, był wykształcony, przystojny, nosił piękne wąsy, w oczach binokle, zawsze uśmiechnięty, pewny siebie i zadowolony. Nadto matka jego Rozenkrancowa obiecała w dzień ślubu wypłacić 10 tysięcy dukatów holenderskich, co na dzisiejsze czasy stanowi kolosalną sumę. Już nawet mówiono powszechnie w Działoszycach i Pińczowie, że rzecz ułożona została między rodzicami, wymieniano nawet i bajeczny posag, który reb Jojne obiecał złożyć w dzień zaręczyn dla swoich dzieci. Brakowało tylko małéj drobnostki: zgody i słowa saméj Hanele. A ona wciąż zwlekała, gdy zaś ciotka jej Rozenkrancowa i sam pan Bernard, trzymając się przed nią w okazałej postawie, jako dobry znajomy, poufale jéj objaśniał osobiste swe przymioty i bezspornie świetną karyjerę, jaką osiagnąć może, wychodząc za niego,—odpowiadała z uśmiechem: „Jeszcze czas!“.

A jednak były chwile, w których spokojna jéj twarz purpurą się okrywała, kiedy piękne i aksamitne jej rzęsy lśniły od wewnętrznego wzruszenia. Zdarzało się to wówczas, gdy, będąc sama w saloniku, jakieś szalone wygrywała melodyje na fortepianie. Ktoby ją w takiéj chwili podpatrzył i podsłuchał, ani chwili by nie wątpił, że Hanele kochała. Nie była to miłość czułostkowa, ani téż wykombinowane uczucie, z prawdopodobną aprobatą rodziny, lecz miłość mimowolna i bezwiedna. Uczucia tego w całej rodzinie nikt się nie domyślał; lecz był ktoś, co mimowolnie ją podpatrzył, odczuł, a może podejrzewał o to swą kuzynkę. Był nim nasz Bernard, który jako praktyczny wychowaniec szkoły niemieckiéj. nakreślił sobie plan, jakiego się ma trzymać, aby swe zaręczyny z piękną i bogatą kuzynką Hanele do skutku doprowadzić.

Przedewszystkiém zwierzył się on przed stryjostwem i zdziwił się niepomału, gdy z ich dwuznacznych uśmiechów doszedł do wniosku, że to oddawna u nich przestało być nowiną. Papa Fajersztajn, wzruszając ramionami i dotykając swego szarawego znamienia na nosie, odmówił wszelkiéj interwencyi, a jakkolwiek klepał go po ramieniu, żadném zachęcającém słowem nie starał się go pocieszyć. Podobnież uczyniła ciocia Marjemł. Znali oni doskonale swą córkę Hanele i wiedzieli, czego pan Bernard Rozenkranc z całém swojém stanowiskiem, bogactwem i ekonomicznémi poglądami niemieckiego utylitaryzmu, mógł się od niéj spodziewać. Zwrócił się tedy do matki i zdaje się tą razą niezupełnie bezowocnie.

Pani Rozenkrancowa często przyjeżdżała do Pińczowa, a ża każdym razem przywoziła to cudowne kolczyki brylantowe, to pierścionek misternéj roboty gdańskiéj, to najdroższe kaszmiry i jedwabie; lecz, mimo uśmiechu niedowierzania nadobnych czytelniczek, Hanele żadnéj z tych błyskotek nie przyjęła, mimo nawet groźby cioci Rozenkrancowéj, że się o to bardzo obrazi, jeżeli tak błahych upominków od kochającéj ciotki nie przyjmie. Wszystko to było napróżno. Na usilne prośby Rozenkrancowéj reb Jojne prosił nawet córkę, aby na kilka tygodni pojechała do Działoszyc. Przedstawiano jéj, że się tam dobrze zabawi, i Hanele byłaby może uległa téj prośbie, gdyby jéj nie żal było poufnéj pogawędki z Laksową.

W takim stanie trwały sprawy małżeńskie pana Bernarda, gdy pan Paweł Laks, ukończywszy swoje studyja w Dorpacie z dyplomem doktora medycyny, przyjechał do Pińczowa.

Nadchodziło święto *Purym* (Ostatki) [1]. Ruch niezwykły panował na ulicach, spotykało się na każdym

---

[1]) Za panowania króla perskiego Artakserksesa, biblijnego Ahaswera, pierwszy minister jego Haman wymógł wydanie edyktu, mającego na celu zagładę wszystkich żydów, mieszkających w całém państwie. Edykt ten niespodziewaném zrządzeniem Opatrzności, wskutek interwencyi światłego Mordechaja, wuja przybranego królowéj Estery i wpływu saméj Estery na Ahaswera, w dniu 13 Ader zmienionym został, a Mordechaj za ocalenia życia królewskiego od zamachu, wsku-

kroku małych chłopczyków, noszących *szlachemunes* [1]) na srebrnych tacach, przykrytych jedwabnémi chusteczkami, różne słodycze, łakocie, bakalije, wino i miód w kolorowych flaszeczkach, torty, ciasta, konfitury i makagigi, a wszyscy śpieszyli się, ażeby jak najwcześniéj załatwić się z roznoszeniem podarków purymowych. Wieczorem bowiem, gdy tylko zmierzch zapada, zaczyna się w Pińczowie, jak i w innych miasteczkach, przy rzęsistém oświetleniu maskarada, podczas któréj przebrani mężczyźni i niewiasty w maskach, chodząc od domu do domu, odgrywają całe sztuki z tematów biblijnych, jak: Sprzedanie Józefa Medyjanitom, Wojnę Dawida z Golijatem, Sąd Salomona i wiele innych ustępów w historyi biblijnéj.

W domu Fajersztajnów panował wielki ruch. W prywatném ich mieszkaniu przy ulicy Działoszyckiéj ustawiono długie stoły, a naokoło ławki podłużne i krzesła; stoły przykryto białym obrusem i ozdobiono ciężkiémi

---

tek spisku dwóch jego dworzan, naznaczony został wielkorządcą Medyi i pierwszym ministrem dworu.

Od wyrazu „*purym*“—losy, gdyż Haman ciągnął losy na oznaezenie dnia, w którym edykt powyższy miał wejść w wykonanie, święta te nazywają się Purym, a żydzi święcą ten dzień przez wesołe zabawy, posyłanie wzajemne upominków, rzęsiste iluminacye, dziękczynne modły i śpiewy religijne, na ten motyw skomponowane, a że przypadają one jednocześnie prawie z *zapustami* czyli *ostatkami* chrześciańskiémi, przeto w życiu powszedniém nazywają sie również Ostatkami, albo karnawałem żydowskim.

[1]) Podarki.

kandelabrami z czystego srebra, między któremi ustawiono po parze srebrnych lichtarzyków. Na stołach było po kilkadziesiąt nakryć, a półmiski napełnione były różnemi potrawami. Na ścianach również zawieszono kilka kandelabrów. W drugim pokoju z mniejszym już przepychem urządzono podobne nakrycia.

Fajersztajnowa, ubrana w świąteczne szaty, zawiesiła kilka sznurów pereł na szyi i brylantowe kolczyki, a na głowę włożyła starożytny czepek, nasunięty na atłasową przepaskę, którą na czole nosiła. Cała promieniejąca, krzątała się około śpiżarni, rozdzielając na prawo i na lewo: makagigi, wino i po kilka złotych dla biednych. Oprócz tego pan Fajersztajn każdemu biednemu posyłał w te święta pół korca kartofli i pięć złotych w gotowiźnie, a miał się kim wyręczyć, bo Bernard dzień cały z zapałem biegał od chaty do chaty, a znał dobrze ich adresa, bo od samego dzieciństwa zawsze w ten dzień odwiedzał biednych w imieniu stryja. Hanele również była czynną. Starała się ona prześcignąć kuzyna, a miała już swoich rocznych biedaków, którym zaoszczędzony grosz zanosiła. Spotykała się ona z nim często uśmiechając się i przyśpieszając kroku, by go wyminąć. Było też już dość późno, gdy ledwie dysząca, ale cała rozpromieniona, wracała do domu a tuż za nią i nasz Bernard cały, zasapany. Jeszcze pozostawało im tylko odwiedzić ciocię Laksową, która obiecała tak ich przebrać, ażeby nikt ich nie poznał.

Wieczór Purymowy świetnie się zapowiadał, miał bowiem być na nim i doktór Laks i pan Joel z Gdań-

ska, szef znanéj już nam firmy Joel i S-ka, który, bawiąc czasowo w Zawichoście, obiecał Bernardowi również przyjechać do Fajersztajnów na uroczystość Purymową, nawet reb Gimpl-melamed, który był domownikiem u Fajersztajnów, twierdził napewno, że nastąpią zaręczyny Hanele z jéj pięknym kuzynem, dyrektorem banku w Zawichoście.

Pogoda była śliczna. Był to rok przybyszowy *(yber)*. Ostatki zwykle wypadają wcześniéj, to jest w lutym lub połowie marca, w roku zaś przybyszowym uroczystość ta przypada nieco późniéj. Słońce już dobrze jaśniało na horyzoncie i ptaszki zbudzone z długiego letargu, jakby zmartwychwstały i pieśnią dziękczynną wtórowały ogólnéj radości. W mieście całém panowała wesołość, każdy dom był jasno i świątecznie przybrany, stół u najbiedniejszego nawet tragarza przykryto białym obrusem i zastawiano różnémi łakociami i jaką taką wieczerzą. Wszystkie twarze rozjaśnione, z patryjarchalną godnością w swoich domostwach święcą ucztę Purymu, ucztę Mordechaja i Estery, ucztę wybawienia przodków swoich od niechybnéj zagłady i śpiewami „*Szoszanas Jakow*“ opiewają tę wszechmocną i niewidzialną Prawicę, która niejednokrotnie już lud izraelski od niechybnéj ratowała zagłady. Powtarzająca się wciąż historyja Hamana uprzytomnia nam słowa psalmisty Dawida: „*Hynaj loj junym welo iszon szomer Izrael*“ (albowiem nie drzémie i z oka swego nie spuszcza Czuwający nad Izraelem). Bawiono też wszędzie wesoło, bo tak każe zwyczaj, oparty na talmudycznem orzeczeniu, że podczas uczty purymowej należy pić tak

długo, póki biesiadnicy nie będą w stanie rozróżnić imienia Hamana od Mordechaja i odwrotnie. U Fajersztajnów na jedną tylko chwilę zapanowała cisza ogólna, a mianowicie w chwili, kiedy reb Lajbele Rapaport, rabin miejscowy, znany ze swéj uczoności, powstał z miejsca, by współbiesiadnikom objaśnić znaczenie Purymu. Przy téj okoliczności scharakteryzował on zarazem ogólne położenie współwyznawców, mówił o ich potrzebach i stosunkach nietylko w samym Pińczowie i najbliższych miasteczkach, lecz i w kraju całym. Między innémi wzmiankował téż, że czas obecny może być uważany za epokę przejściową, bo wytworzył on walkę pomiędzy stronnictwem postępowém. liczącém dotąd niewielu jeszcze zwolenników, a stronnictwem zachowawczém, co nie może się otrząsnąć z naleciaości, jakie wieki ubiegłe, wieki prześladowań i ucisku pozostawiły po sobie wśród dzieci Izraela. Skarżył się, ze współwyznawcy nie chcą się nakłaniać do potrzeb ogólnych i stosować do przyjętych zwyczajów krajowych, a nieliczna garstka tych. co to robią, zapomina wkrótce o najważniejszych zasadach judaizmu i w rzeczach wiary staje się indyferętną. Religija jednak judaistyczna ma, jak inne z jéj łona wyszłe religije monoteistyczne, pewne przepisy rytualne, stanowiące niejako jéj dogmatu, o których zapominać izraelitom nie wolno. Wskazywał on daléj, iż wskutek szlachetnéj inicyjatywy garstki ludzi dobréj woli, powstają już w większych miastach okazałe Domy Modlitwy z rytuałem postępowym, ale te podczas świąt i uroczystości bywają prawie puste, bo zacofanych, którzyby pragnęli

się tu modlić nie wpuszczają, a w ciągu całego roku niektórzy tylko przychodzą mówić *kadesz* (modlitwę za zmarłych) lub przysłuchiwać się śpiewom chóralnym. Inicyjatorzy zaś i protektorzy, jak gdyby z łaski, jeżeli czasem zajrzą do świątyni, to zachowują się podczas nabożeństwa z taką zamaszystością i arogancyją, że doprawdy lepiéjby uczynili, gdyby pozostali w domu, nie szukając chełpy z nadawanych sobie tytułów i godności, których żaden dom Boży nie ma do rozdawania. Zdaje się tym panom, że jeżeli kto z nich przywdzieje cylinder, krótką kapotę, rękawiczki i krawat, już tém samém zasługuje na wszelkie wyróżnienia i w świątyni, a jeżeli jeszcze z Jojnego przezwie się Józefem, z Jankla—Januszem, z Abrahama—Adolfem, z Borucha—Bolesławem i t. p., to pomiata współwyznawcami, którzy dawniejsze jego noszą imiona, gardzi długokapotowcami, wyśmiewa się z ich obrzędów religijnych i zwyczajowych, zapomina wiarę ojców i żadnéj nie uznaje świętości; to téż rarogiem bywa w świątyni, a i w niéj nawet lekceważąco zachowuje się podczas nabożeństwa, odczytywaniu rodałów (Thory) lub kazania. Wobec téż takich wyników źle zrozumianéj kultury, czegóż się dziwić, że zacofani jeszcze się większym murem chińskim odgradzają od postępowców podobnego zakroju.

— Jestem za postępem — kończył swą mowę, — lecz umiarkowanym, bardzo umiarkowanym — dodał, jakby wsłuchując się we własne słowa.—Niedość, że panowie binokle nałożą, twarze ogolą, w cylindrach, krawatach i rękawiczkach się ukażą—tu znacząco na p. Joela spoj-

rzał,—lecz wykazujcie postęp ten czynami, dobrém postępowaniem, taktem, godnością, naśladowaniem obyczajów łepszych i zachowaniem zwyczajów, jakie od przodków odziedziczyliśmy, to będzie pierwszym krokiem prawdziwego postępu. A zanim to nastąpi, zanim szersze masy nasze zrozumieją doniosłość owego cywilizacyjnego prądu, jaki dziś zaledwie jednostki ogarnia, wychylmy ten kielich, aby doczekać owéj błogosławionéj chwili...

Tu jeszcze chciał coś dodać, ale huczne oklaski zagłuszyły ostatnie jego słowa, a pan Joel zachwycony rękę mu podał, serdecznie dziękując i ofiarując 1000 rubli na założenie szkoły religijnéj (talmudtora). Pajsechł *alias* doktór Paweł słuchał uważnie wieszczych słów rabina, a nawet i piękna Hanele stała nieopodal, iskrzącémi oczyma patrząc na rabina, a od czasu do czasu śląc ukośne spojrzenia w stronę młodego doktora, który tak był wpatrzony w rabina, że nawet jéj obecności nie zauważył.

Po przemowie cytowanéj rabina rozpoczęła się dopiéro na dobre zabawa huczna i wesoła. Bawiono się do póżnej nocy. Wpośród zebranych gości był i pan Joel z Gdańska i Rozenkrancowa z synem Bernardem i cała rodzina naszego doktora Laksa. Największe honory oddawano Rylkele *die Sagenurte* i jéj mężowi. Trwała zabawa ta prawie do świtu i wszyscy powracali do domu z uśmiechem zadowolenia. Jeden tylko Bernard, który uważniéj obserwował piękną kuzynkę, bardzo był niezadowolonym. Przywodził sobie na pamięć tyle czasu straconego, tyle kosztów niepotrzebnych wskutek daremnéj prawie co tygodniowéj przejażdżki z Zawichosta,

i przykro mu téż było, że przed Joelem wychwalał Hanele i niby niechcący, kazał mu się domyślać, że ma ona zostać jego narzeczoną. Pan Joel, szczwany lis i bywalec, odrazu zrozumiał wszystko, obserwując przez kilka godzin pannę Fajersztajnównę i niepokaźnego d-ra Laksa.

— Mój drogi dyrektorze—rzekł do niego w kilka dni późniéj w kantorze ich w Zawichoście, biorąc go poufale wpół—już ty zapomnij o Pińczowie, a swą kuzynkę piękną Hanelę przeksięguj przez rachunek zysków i strat.

Musimy tu nawiasowo dodać, że pan Joel całémi miesiącami przesiadywał w Zawichoście ze swą małżonką, a nikogo to nie dziwiło, gdyż każdy tłómaczył to sobie potrzebami. Podobnież tłómaczono sobie pobyt jego wspólnika Salomona Holkopfa, który już od roku w Zawichoście przebywał. Prawdziwéj jednak przyczyny pobytu ich w tém mieście nikt nie wiedział, w Gdańsku zaś różnie to sobie tłómaczono. Jedni mówili, że pan Henryk Joel dlatego z Gdańska wyjechał, iż nie został wybranym na prezesa gminy tamecznéj, a godność ta udzieloną została osobie, która i trzeciéj części majątku jego nie posiadała. Inni złośliwi utrzymywali, że unikał wysokich składek, jakiémi go gmina obciążała, a byli i tacy, co twierdzili, że naprzykrzyły mu się zbyt częste wizyty artystów, malarzy i literatów, którzy zanudzali go odwiedzinami, a wspólnik jego, pan Salomon, podobno tak się tém zrażał, że mu to odbierało sen i apetyt. Dla pozbycia się natręctwa, aby mu nikt nie przerywał poobiedniéj drzemki, niezbędnéj do strawienia przy-

jętego posiłku, przesiadywał on letnią porą w różnych zagranicznych badach, przedsiębrał podróże do Wenecyi, Rzymu, Neapolu, Kairu i Jerozolimy, resztę zaś czasu wolnego przepędzał w Zawichóście, gdzie żył spokojnie. Wprawdzie sarkano w Gdańsku, że ludzie tak bogaci, ktòrzy wśród ludności miejscowéj porobili majątki, mogliby z większym pożytkiem dla niéj pracować. Ale od czegoż owa osławiona wygoda i utylitaryzm niemiecki? Pan Joel chociaż dla rodziny był względnie dobrym, Holkopf zaś i na tym punkcie szwankował, bo chorując na maniję uczoności, tylko do tych krewnych się przyznawał którzy posiadali jakiś stopień naukowy, innych zaś nie uznawał za krewnych i wstydził się z nimi obcować. Pod względem religijnym p. Holkopf przez pewien czas był fanatykiem, pełnym zabobonów, zamkniętym w ciasném kole formułek gdańskiego gheta, a następnie krańcowo liberalnym i bezwyznaniowym ateuszem. Cały téż dom jego mniéj więcéj na téj stopie był prowadzony, a więc i nasz Barnard podczas pobytu w Gdańsku, częstym tu będąc gościem, przyswoił sobie te same cechy. Staranne wychowanie, jakie od matki otrzymał i piękne zasady, jakie mu wpojono na pensyi u Hajmanów, poszły prędko w zapomnienie, a przytém i charakter jego uległ zupełnemu przekształceniu. Stał się chciwym egoistą, oddanym jedynie gromadzeniu mamony światowéj, a jedyną namiętnością jego, prócz téj, była stateczna miłość dla pięknéj i bogatéj córki pana Fajersztajna.

Nasz Bernard tak sobie mocno to małżeństwo wbił do głowy i tak zarozumiałym był co do swych przy-

miotów i karyjery, jaką kuzynka w związku małżeńskim z nim zrobi, że ignorował wszelkie przeszkody,—a tłòmaczenia przyjaciół, a nawet i swego szefa o nieprawdopodobieństwo doprowadzenia tego zamiaru do skutku, nie trafiały mu do przekonania. Będąc sam na sam ze sobą, często złościł się, tupał nogami, stalówki u piór łamał, potrząsając grubym łańcuszkiem złotym od zegarka i przecedzając przez zęby ledwo dosłyszalne słowa: „Taki kapcan, golec, taki mizerak, takie nic... hm... hm, ale zobaczymy.“ Nie ustępował též jeszcze i nie dawał za wygranę...

Wieczorek purymowy natomiast bardzo się podobał doktorowi Laksowi, zapoznał się on bowiem jeszcze lepiéj z rabinem, który mu i tak już oddawna sprzyjał. Praktyka jego wzrastała z każdym dniem i po trzech latach już bardzo ładne miał utrzymanie. Bywał teraz częściéj u Fajersztajnów, czytując całemi godzinami razem z panną Fajersztajnòwną najświeższe dzieła polskie. Tylko role były ich odmienne. Dawniejszy uczeń Pajsechł tłomaczył jéj teraz wszystko, czego nie rozumiała, a ona z zachwytem połykała każdy jego wyraz, każde jego objaśnienie. Bardzo téż często urządzali wycieczki zamiejskie.

Było to właśnie podczas jednego z pięknych, ciepłych i pogodnych dni wiosennych, kiedy dwie osoby wracały ze spaceru od wsi Bogucic. Nie musiało im być bardzo śpieszno, bo szły krok w krok powoli, nie mówiąc prawie ani słowa. Przypatrzmy się bliżéj téj parze. Z prawéj strony szedł młodzienieć, mogący mieć od 24 do 26 lat, wzrostu małego, delikatnéj budowy, dziecinnéj prawie

twarzy, cery śniadawéj, twarzy pociągłéj, nosa dużego, małych kocich oczu, takiegoż podbródka, ust stosunkowo dużych, ledwie dostrzegalnego puszku, którego nawet wąsikiem nazwać niepodobna—wszystko to czyniło go prawie szpetnym. Tylko gęsty włos, do góry zaczesany nad wyniosłém czołem, mała brodawka szarawa pośrodku lewego policzka, bardzo ożywiony wyraz twarzy i złote binokle na jedwabnym sznureczku nadawały twarzy jego znośniejszy wyraz. Już po owém piętnie na twarzy można było poznać, że należy on do rodziny Fajersztajnów. Ubranie jego było bardzo skromne, nosił czarny garnitur, obuwie na wysokich obcasach i zgrabny cylinderek. Był to nasz stary znajomy doktór Paweł Laks. Obok niego z lewéj strony szła Hanele. A nie był to już ów trzpiotek, jakim poznaliśmy na początku naszego opowiadania, lecz dorosła panna, wysokiego wzrostu i bardzo zgrabnéj kibici. Śliczne zwoje złocisto-rudawych, lśniących warkoczy spadały obficie na szyję śnieżnéj białości, twarz nieco podłużną, prawie dziecinną, zdobiły szafirowe oczy w prześlicznéj oprawie, zgrabny grecki nosek i koralowa buzia, powabne dołeczki na zarumienionéj twarzyczce, oraz maluteczkie szarawe znamię na twarzy, czyniły z niéj istotę zachwycającą. To téż w Pińczowie nazywali ją powszechnie piękną Hanele. Pensyjonarze Hany Reles pisywali ody na jéj cześć, kuzyn jéj, pan Bernard Rozenkranc z Działoszyc, cały album zapisał wierszami w różnych językach, w których sławił jéj wdzięki, charakter, piękność i bogactwo. Rozumie się, że były to ustępy z Szyllera, Goethego, Byrona, Wiktora Hugo i in-

nych poetów, a w ustępach tych, podstawiając wszędzie imię kuzynki, bez skrupułu siebie, jako autora, podpisywał. Miała ona już całe archiwum takich wierszy, gdyż pan Bernard który wciąż jeszcze do Pińczowa przejeżdżał, w poezyi był niewyczerpanym, Wiersze od kuzyna przyjmowała Hanele żartobliwie. Wiedziała, że Bernard był człowiekiem bardzo statecznym, zdolnym do interesów, o czém nawet sam reb Jojne z pochwałą się odzywał; wiedziała przytém, że nie był rozrzutnym, prędzéj owszem można go było za skąpego uważać. Chodził téż zawsze bardzo wykwintnie ubrany, ufryzowany i wyperfumowany. Co do powierzchowności, stanowił on zupełną sprzeczność z doktorem Laksem. Wysokiego wzrostu, zgrabny i pięknie zbudowany, o twarzy okrągłéj, zawsze uśmiechniętéj, nosie małym, czole wysokiém, oczach szarych, robił zdaleka wrażenie pięknego mężczyzny. Po bliższém jednak poznaniu, oczy te były bez blasku, twarz bez wyrazu, a rysy bez inteligencyi; oczy te, a raczéj twarz i rysy nabierały innego wyrazu tylko na widok złota. Gdy w myśli téż Hanele porównywała obu rywalów, Pawełek rósł na skrzydłach i przewyższał w jéj wyobraźni ów kasztan historyczny, pod którym niegdyś przesiadywał Pajsechł; coraz też więcej zagnieżdżał się w jej sercu, coraz bardziej olbrzymiał. stając się wiernym towarzyszem, na którym polegać mogła i śmiało się oprzeć u jego boku.

Tak tez szli oboje, nie śpiesząc się bo szkoda im zapewne było rozstawać się ze sobą. Musieli jednak sobie cóś wyznać, bo i dr. Paweł był bardzo wzruszony,

a Hanele?... Gdy pospieszymy za nią do domu, ujrzymy, że padła ojcu na szyję i z płaczu się utulić nie mogła wyznając mu wszystko, A gdy nazajutrz pan doktór Laks przyszedł formalnie się oświadczyć, Henele przyjęła go z radością. Poczciwy reb Jojne, który na to nadszedł, winszował im serdecznie, uścisnął i pobogłosławił, zapominając ze zbytku radości dotknąć nawet szaı wego znamienia na nosie.

W krótkim czasie odbyło się świetnie wesele, n› którém ciocia Laksowa tańczyła vis-á-vis z panią Hajmanową a młody Joel vis-à-vis z Bernardem Rozenkrancem. Był na niém i nasz reb Gimpl ze swoim belferem, który podobno tyle makagig dostał od Fajersztajnowej, że niemi dotychczas raczy swych bachurów. Ja sam również byłem na tém weselu. natańczyłem się dowoli i zachwycałem się małą mówką mądrego rabina na temat: piękna nauka, jeśli ona się rozwija na gruncie religijnym,jeśli jej celem poprawienie obyczajów, umoralnienie duszy i uzacnien'e serca.

W kilka lat później odwiedziłem Pińczów. Doktór Laks miał dobrą praktykę, a podczas uczty purymowej Marjemł, częstując mnie seryą świeżo wystudyjowanych makagig, zaprowadziła mnie do dziecinnego pokoju, prezentując przecudne kędzierzawe bobo, jako swego mądrego wnuka. Życzyłem jej ma się rozumieć *(mazeltow)* i pospieszyłem do domu, aby i naszą nowelkę ku ogólnemu zadowoleniu, zakończyć.

A Bernard?—zapytacie

Bernard ożenił się z jedną z panien działoszyckich, która mu dopomaga kapitał powiększać i barDziej, niż

przedtém, nos zadzierać do góry.

Jest jednak nadzieja, że i nosy dyrektorstwa Rozenkranców dojdą do swéj normy; i arogancja ich się zmniejszy, gdy poznają prawdziwy cel życia i dokładnéj zrozumieją swe obowiązki.

KONIEC.